

Pierwsze słowo mojego dnia...

Nad moim biurkiem wisi czarno - biała fotografia w ramce. Wisi od lat. Na fotografii grupa fajnych młodych studenciaków na mazurach, pod koniec rejsu akademickiego. Młodzi, energiczni, bezczelni i romantyczni. Wielu jeszcze ma złudzenia...

To zdjęcie konsekwentnie przypomina mi o tym, że najlepsze rzeczy zdarzają się tylko raz w życiu. A jeśli później zdarzają się, to już są inne. Lepsze? Gorsze? Po prostu inne... Taaak.. Najlepsze rzeczy zdarzają się tylko raz w życiu.

Ale to zdjęcie przypomina mi o czymś jeszcze ważniejszym.



Nieobecnym bohaterem tego zdjęcia jest ksiądz. Albowiem był z nami ksiądz. Studiował teologię albo może psychologię. Student, nasz równoletek. Jest to najzupełniej normalne na rejsie organizowanym przez KUL. Ksiądz jak ksiądz. Pogodny, ale nie przymilny. Rzeczowy, ale nie szorstki. Konkretny ale nie zasadniczy. Rudy, bo tak na niego mówiliśmy pływał sprawnie każdego dnia. Pływał o świcie i wieczorem, a ten jego rudy łeb miarowo zanurzał się pod wodę i wynurzał. Rudy był przystojny i mógłby zawrócić w głowie tą swoją rześką, czerstwą urodą chłopaka ze wsi nie jednej dziewczynie, ale jego powściągliwe zachowanie nie dopuszczało takiej możliwości.

A kiedy przyszła niedziela poszliśmy do najbliższej parafii aby wypożyczyć niezbędne szpeje i rudy odprawił mszę na brzegu jeziora. Bez zadęcia, na odwróconym kajaku. Jak Papież. Potem poszliśmy oddać szpeje proboszczowi, a Rudy mocno przeżywał, że proboszcz nawet nie poczęstował nas herbatą. Młody to i się dziwił.

Każdy z nas był indywidualistą, miał swój kierunek, swoje spostrzeżenia, swoją drogę. Obecną i przyszłą. Z jednej strony bardzo zmieniłem się od tamtego czasu a z drugiej strony nie zmieniłem się wcale...

Pływając całe dwa tygodnie poznawaliśmy siebie nawzajem. Opowiadaliśmy swoje historie, dyskutowaliśmy, a to dla odmiany siedzieliśmy w milczeniu. Nasze akademickie zacięcie, i to że byliśmy z „dobrej stajni” gwarantowało odpowiednio wysoki poziom tego milczenia. Siedzieliśmy nad ogniskiem do białego rana, piliśmy piwo i znowu gadaliśmy. To wręcz nie do wiary, ale na całym rejsie nie było radio, nie mówiąc już o TV czy MP3. Nie było też telefonów komórkowych z ich uniżoną przytłaczającą wszechobecnością. Zamiast tego były rozmowy. To był dobry czas.

Pewnego poranka wstałem jak zwykle o siódmej, może o ósmej i zobaczyłem, że woda z tropiku załała mi buty, ciuchy i cały worek żeglarski. Założyłem więc mokre buty, wilgotny podkoszulek i ruszyłem na spotkanie pięknego słonecznego lipcowego dnia. Pamiętam to jak dzisiaj: Rudy składał właśnie swój namiot, a ja mijając go powiedziałem „**cholera, woda załała mi wszystkie rzeczy...**”

A Rudy, nie przerywając sobie w robocie, bez cienia mentorstwa powiedział: „ **no to faktycznie jest powód, żeby zacząć święty dzień od słowa – cholera** ” , po czym powrócił do swojego zajęcia. A ja osłupiałem! Faktycznie! To był piękny słoneczny dzień. Mieliśmy po 22, no może po 24 lata i po spokojnym śniadaniu mieliśmy wszyscy pozełgować na jezioro Tyrkło.

A do tego, była to niedziela.



Od tego dnia, choć upłynęło ponad 20 lat, niemalże codziennie zwracam uwagę na pierwsze słowo mojego dnia. Często nie mówię nic. Ot po prostu wstaję. Szczotkuję zęby, włączam radio w kuchni i zaparzam jedną lub dwie kawy z mlekiem.

Często świadomie afirmuję dzień, jako kolejną szansę na coś nowego. Coś dobrego. Ale czasami, gdy np. zaśpię zrywam się gwałtownie mrużąc „Cholera! Już ósma!” I wtedy zawsze przypomina mi się rudy ksiądz i pierwsze słowo świętego dnia.

Bo każdy dzień naszego życia jest na swój sposób święty.
Innych dni przecież nie mamy.